

BEZ KURTYNY

Z POWSZECHNYM PRYZWOLENIEM

Ryba psuje się od głowy. Chłopi z galicyjskiej wsi żyli niemoralnie „bo sobie przykład z księdza wzięli”. Tak najłatwiej. Najprościej też obarczyć winą za klęskę jaka spada na społeczeństwo tego, kto w tejże społeczności stoi na świeczniku.

U Wyspiańskiego w „Kłatwie” za posuchę, głód winnym okrzyczano księdza. On złamał przyjęte zasady. Miał kobietę, która urodziła mu dzieci. Wieś na to patrzyła przyzwalająco. Ludzie przypominają sobie o normach moralnych kiedy dotyka ich ich nieszczęście, susza, nieurodzaj... W takich warunkach ludzka gromada; nie tylko galicyjscy chłopi, chcą mieć winnego, znaleźć ofiarę, przez której cierpienie przebłąga los. Niech więc będzie nią ten, którego postępowanie rzuca się w oczy najjaskrawiej. Tak przecież wygodnie. Lud poczuje się silny, zjednoczony wspólnym celem oddalenia niełaskawej rzeczywistości. A może rozgrzeszy się zbyt łatwo? Czy nie warto poszukać winy, źródła zła także i w sobie, we własnych grzechach, uspiętej moralności? W pobłażaniu występkom możliwych tego świata, ich pokrętej etyce, szubrawstwom... Po co konstatawać, że właśnie również i za nie dotknęła nas karząca ręka sprawiedliwości? To by wymagało wysiłku, odwagi. Niech więc odpowiedzialni będą ci, których widać najwyraźniej. Tak zdecydował lud także i w „Kłatwie”.

Zespolony z „Sędziami” dramat ten stanowi najnowszą premierę Teatru na Woll. Zawarte w niej przesłanie moralne do takich ogólniejszych przeciwieństw — bo wykraczających poza symboliczne utwory, Wyspiańskiego — pobudza przemyśleń.

Nutą przewodnią spektaklu — wyreżyserowanego zgodnie z modernistyczną tradycją literacką i teatralną — jest odpowiedzialność za własne czyny. Wypadki, które posłużyły Wyspiańskiemu do napisania obu sztuk miały pierwowzór w kronikach sądowych. Ale owe wydarzenia: ponura historia księżej kochanki, dzieciobójczyni i proces Żydów handlujących żywym towarem, z których je-

den próbuje uniknąć kary za zabójstwo służącej — ukazane na scenie — nadały spektaklowi rangę moralitetu.

Odpowiedzialność moralna za popełnione czyny urasta w dramatach Wyspiańskiego do tragicznego rozrachunku z własnym sumieniem. Tragizm ów nie polega jednak na budzeniu się sumienia bohaterów i ich środowiska, ale na sposobie zmazania win, które odpuszczone mogą być jedynie przez ofiarę największą.

Tymczasem młody adept reżyserii Waldemar Matuszewski nie dowierza jakby nośności tekstu. Dodaje inscenizacyjne wtręty: bełkotliwą, wrzaskliwą procesję, której uczestnicy śpiewają pieśni, ale jej słowa nie są przez widzów zrozumiane. Zabieg to więc niepotrzebny; chybiony. Nie waży on wszelako na tym, co w przedstawieniu najistotniejsze, nad czym warto się zamyślić, by odczytać analogię z czasami nam współczesnymi.

Matuszewski robiąc swój teatr wiedział, że sukces odniesie właściwie dobierając obsadę. Osiągnął go powierzając podwójną rolę Jewdochy i Młodej Halinie Labonarskiej. Porzucając nęcący kostium wzniosłego tragizmu była ona po ludzku przejmująca. Cała człowiecza marność, cała jego potęga, pokora i duma zaistniały w jej roli wyraziście. A kreacja ta i niesione przez nią treści przypominają, że zła trzeba szukać i w sobie. Ci bowiem, którzy są także jego sprawcami w powszechnej opinii największymi — może już dokonali rozrachunku z własnego szubrawstwa. Może właśnie owo gorzkie rozliczenie mają już poza sobą?